

A close-up, high-contrast photograph of a woman with long, dark hair. She is looking down, her face partially in shadow. The background is a bright, hazy, golden-yellow light, possibly from a window or a sunset. The overall mood is contemplative and artistic.

GUILLAUME
MUSSO
POTEM...

Prolog

**Wyspa Nantucket,
Massachusetts,
jesień 1972**

Jezioro znajdowało się we wschodniej części wyspy, za bagnami, które otaczały pola żurawiny. Pogoda była piękna.

Po kilku dniach chłodu znowu zrobiło się ciepło, woda w jeziorze połyskiwała jaskrawymi barwami babiego lata.

— Hej! Patrz!

Chłopiec stanął tuż przy brzegu i spojrzał w kierunku, który wskazywała jego towarzyszka. Między liśćmi płynął duży ptak. Nieskazitelna biel upierzenia, czarny jak węgiel dziób i długa szyja przydawały mu majestatycznego wdzięku.

Łabędź.

Kiedy ptak znalazł się kilka metrów od dzieci, zanurzył w wodzie głowę i szyję. Po chwili znów się ukazał i wydał długi, słodki, melodyjny krzyk, zupełnie inny niż syczenie łabędzi z żółtymi dziobami, które są ozdobą parków.

— Chcę go pogłaskać!

Dziewczynka podeszła do brzegu i wyciągnęła rękę. Przestraszony ptak tak gwałtownie nastroszył pióra, że dziew-

czynka straciła równowagę. Wpadła do wody, a łabędź odleciał, bijąc mocno skrzydłami.

Natychmiast straciła oddech, zimna woda zaczęła ją dławić. Była dobrą pływaczką jak na swój wiek. W morzu często udawało jej się przepłynąć żabką kilkaset metrów. Jednak woda w jeziorze była lodowata, a brzeg wysoki. Zaczęła płynąć z całych sił, lecz po chwili wpadła w popłoch, gdy zrozumiała, że nie da rady wspiąć się na brzeg. Poczula się małeńka i bezsilna, woda nieuchronnie wciągała ją w głębinę.

Kiedy chłopiec zobaczył, że jego przyjaciółka jest w niebezpieczeństwie, nie wahał się ani chwili: zrzucił buty i w ubraniu wskoczył do wody.

— Złap się mnie, nic się nie bój!

Dziewczynka uchwyciła się go i razem dotarli jakoś do brzegu. Chłopiec podtrzymał ją z całych sił i dzięki jego pomocy udało jej się wdrapać na brzeg.

Gdy jednak sam chciał wydostać się na powierzchnię, poczuł, że słabnie. Jakby jakieś silne ręce wciągały go na dno jeziora. Zaczął się dusić, serce waliło mu jak młotem, głowa pękała z bólu.

Walczył, dopóki nie poczuł, że woda zalewa mu płuca. Wtedy, nie mając sił, by się opierać, zrezygnował i zniknął pod wodą. Popękały mu bębunki w uszach, otoczyły go ciemności. Zrozumiał, że to już koniec.

Nic, tylko zimna, przerażająca ciemność.

Ciemność.

Ciemność.

A potem, niespodziewanie...

Światło.

1

*Są tacy, którzy rodzą się wielcy...
i tacy, którzy wielkość zdobyli...*

Szekspir

Manhattan, dni dzisiejsze, 9 grudnia

Jak co rano Nathana Del Amico obudziły jednocześnie dwa dzwonki. Zawsze nastawiał dwa budziki: jeden włączony do sieci, drugi na baterie. Mallory uważała, że to śmieszne.

Zjadłszy połowę zawartości talerza z płatkami kukurydzianymi, włożył dres i znoszone reeboki, po czym wyszedł jak co dzień pobiegać.

W lustrze windy zobaczył młodego jeszcze mężczyznę o miłej powierzchowności, lecz ze zmęczoną twarzą.

Przydałyby ci się wakacje, Nathanie, pomyślał, przyglądając się z bliska niebieskawym ceniom pod oczami.

Zasunął zamek błyskawiczny bluzy pod samą szyję, włożył rękawice na futrze i wełnianą czapkę z emblematem drużyny Jankesów.

Nathan mieszkał na dwudziestym trzecim piętrze San Remo Building, jednego z luksusowych apartamentowców na Górnym Manhattanie, który stał po zachodniej stronie Central Parku. Był wczesny ranek, domy dopiero wyłaniały się z porannej mgły. Poprzedniego wieczoru służby meteorologiczne zapowiadały śnieg, ale jeszcze nie padało. Pobiegł truchtem w górę ulicy. Widoczne wszędzie bożonarodzeniowe dekoracje i zawieszane na wszystkich drzwiach wieńce z ostrokrzewu tworzyły świąteczny nastrój. Nathan minął Muzeum Historii Naturalnej i przebiegłszy ze sto metrów, znalazł się w Central Parku.

O tak wczesnej porze i ze względu na zimno nie było tu prawie nikogo. Od strony rzeki Hudson wiał lodowaty wiatr. Ścieżka do joggingu prowadziła wokół sztucznego jeziora, znajdującego się w środku parku.

Mimo iż radzono Nathanowi, aby nie zapuszczał się tam, gdy jest ciemno, skręcił na tę ścieżkę bez obawy. Biegał nią od wielu lat i nigdy nie przydarzyło mu się nic przykrego. Narzucił sobie równe tempo. Powietrze było ostre, ale za nic w świecie nie zrezygnowałby z tej codziennej godziny treningu.

Po trzech kwadransach intensywnego biegu zatrzymał się na wysokości Traverse Road. Napił się wody i usiadł na moment na trawniku.

Pomyślał o łagodnych zimach w Kalifornii, o wybrzeżu w San Diego z dziesiątkami kilometrów plaż, idealnych do uprawiania biegów. Przypomniał sobie głośnie wybuchy śmiechu swojej córeczki Bonnie.

Bardzo mu jej brakowało.

Wyobrażenia podsunęła mu także obraz twarzy żony, Malory, i jej wielkich jak ocean oczu. Przemógł się jednak, by o niej nie myśleć.

Nie rozdrapuj tej rany.

Nadal siedział jednak na trawie, nie mogąc uwolnić się od uczucia ogromnej pustki po jej odejściu, które dręczyło go już od wielu miesięcy.

Nigdy nie podejrzewał, że cierpienie może przybrać taką formę.

Był samotny i nieszczęśliwy. Oczy zaszyły mu łzami, które natychmiast osuszył wiatr.

Znów napił się wody. Od momentu obudzenia się czuł w piersi dziwny ostry ból, utrudniający oddychanie.

Zaczęły padać pierwsze płatki śniegu. Podniósł się więc i truchtem wrócił do San Remo, by przed pójściem do pracy wziąć prysznic.

□

Nathan trzasnął drzwiczkami taksówki. W ciemnym garniturze, świeżo ogolony, wszedł do przeszklonego wieżowca, w którym znajdowały się biura Marble&March, na rogu Park Avenue i 52. Ulicy.

Ze wszystkich kancelarii adwokackich Marble prosperowała najlepiej. W całych Stanach zatrudniała ponad dwięćuset pracowników na etacie, z czego prawie połowę w Nowym Jorku.

Nathan zaczął karierę w filii w San Diego, gdzie bardzo szybko tak się wybił, że Ashley Jordan, partner firmy, zaproponował jego kandydaturę na członka rady zarządza-

jącej. W tym czasie rozwijała działalność kancelaria w Nowym Jorku i Nathan, w wieku trzydziestu jeden lat, spakował walizki, by wrócić do miasta, w którym dorastał i gdzie czekało na niego odpowiedzialne stanowisko zastępcy dyrektora wydziału.

Taki awans w jego wieku to rzecz wyjątkowa.

Nathan zrealizował swoje ambicje: został jednym z najbardziej renomowanych adwokatów, a zarazem jednym z najmłodszych. Odnosił sukces. I to nie drogą pomnażania pieniędzy na giełdzie lub wykorzystania stosunków rodzinnych. Nie, on zdobył pieniądze własną pracą. Broniąc klientów indywidualnych i spółki, zmuszając wszystkich do respektowania prawa.

Błyskotliwy, bogaty, dumny z siebie.

Takim był Nathan Del Amico.

Widziany przez innych.

□

Całe przedpołudnie spędził na spotkaniach z podległymi mu współpracownikami, by ustalić stanowiska w bieżących sprawach. Koło dwunastej Abby przyniosła mu kawę, precelki sezamowe i serek śmietankowy.

Abby była jego asystentką od wielu lat. Pochodziła z Kalifornii. Zgodziła się wyjechać do Nowego Jorku, bo dobrze im się razem pracowało. Niezameężna, w średnim wieku, oddana pracy, darzyła Nathana absolutnym zaufaniem, a on zawsze bez wahania powierzał jej ważne sprawy. Była wyjątkowo pracowita, dzięki czemu nadążała za coraz szybszym tempem narzucanym przez szefa, choć musiała doda-

wać sobie sił, popijając po kryjomu soki owocowe z dodatkiem witamin i kofeiny.

Ponieważ Nathan przez najbliższą godzinę nie miał żadnego spotkania, skorzystał z tego i rozluźnił krawat. Ból w piersi nie ustępował. Pomasował sobie skronie i spryskał twarz zimną wodą.

Przestań myśleć o Mallory.

— Nathanie?

Abby weszła bez pukania, jak robiła to zazwyczaj, gdy byli sami. Przypomniała mu, jaki ma program na popołudnie, po czym dodała:

— Dziś rano dzwonił jakiś przyjaciel Ashleya Jordana. Chce jak najszybciej się z tobą spotkać. Nazywa się Garrett Goodrich...

— Goodrich? Nigdy o takim nie słyszałem.

— Zrozumiałam, że to jego kolega z dzieciństwa, znany lekarz.

— A do czego ja mogę być potrzebny temu panu? — zdziwił się Nathan.

— Nie mam pojęcia, nie powiedział niczego konkretnego. Zaznaczył tylko, że po Jordanie ty jesteś najlepszy.

To prawda. W całej mojej karierze nie przegrałem żadnego procesu. Ani jednego.

— Połącz mnie z Ashleyem.

— Godzinę temu wyjechał do Baltimore. A w sprawie Kyle'a...

— Ach tak! O której godzinie ma przyjść ten Goodrich?

— Zaproponowałam mu siedemnastą.

Wychodząc z pokoju, dorzuciła:

— Pewnie chodzi o jakiś kruczek w sprawach medycznych.

— I ja tak sędzę — zgodził się z nią Nathan i znów pograżył w papierach. — Trzeba go będzie wysłać do wydziału na czwartym piętrze.

□

Goodrich pojawił się parę minut przed siedemnastą. Abby od razu wprowadziła go do gabinetu Nathana.

Był to mężczyzna w sile wieku, wysoki, potężnie zbudowany. Długi elegancki płaszcz i ciemny garnitur podkreślały jeszcze jego wzrost. Wszedł do gabinetu pewnym krokiem. Człowieka o tak władczej postawie trudno byłoby nie zauważyć.

Energicznym ruchem zdjął płaszcz i podał go Abby. Przyglądał dłonią szpakowate, niesforne włosy — musiał mieć ze sześćdziesiąt lat, ale nie miał śladów łysiny — a potem krótką bródkę, patrząc na adwokata żywymi, przenikliwymi oczami.

Gdy Nathan napotkał jego wzrok, nagle poczuł się źle. Jego oddech dziwnie przyspieszył, a po sekundzie zakręciło mu się w głowie.

2

I ujrzałem innego anioła, stojącego w słońcu.*
Apokalipsa św. Jana, 19,17

— Czy pan się dobrze czuje, panie Del Amico?

Boże, co się ze mną dzieje?

— To nic... to tylko zawrót głowy — odpowiedział Nathan, otrząsając się. — To pewnie z przepracowania...

Goodrich nie wyglądał na przekonanego.

— Jestem lekarzem, chętnie pana zbadam — zaproponował donośnym głosem.

Nathan zmusił się do uśmiechu.

— Dziękuję, już wszystko w porządku.

— Naprawdę?

— Zapewniam pana.

Nie czekając na zaproszenie, Goodrich zasiadł w jednym ze skórzanych foteli i zaczął rozglądać się po gabinecie. Atmosferę dostatku tworzyły półki wypełnione starymi książkami, ogromne, stojące na środku biurko, dostawiony do niego stół konferencyjny z orzechowego drewna oraz elegancka mała kanapa.

* Biblia Tysiąclecia, wydawnictwo Pallotinum, Poznań–Warszawa, 1990.

— Czego pan ode mnie oczekuje, doktorze Goodrich?
— zapytał Nathan po krótkiej chwili milczenia.

Lekarz, założywszy nogę na nogę, kiwał się lekko w fotelu.

— Niczego od pana nie oczekuję, Nathanie... Czy mogę zwracać się do pana po imieniu?

Jego ton wskazywał na to, że nie ma co do tego żadnej wątpliwości.

Nathan nie dał się zbić z tropu.

— Przyszedł pan do mnie w sprawie zawodowej, prawda? Nasza kancelaria występuje w imieniu lekarzy, oskarżanych przez pacjentów...

— Mnie to na szczęście nie dotyczy — przerwał mu Goodrich. — Kiedy za dużo wypiję, nie operuję. Głupio byłoby uciąć pacjentowi prawą nogę zamiast lewej, prawda?

Nathan uśmiechnął się lekko.

— Jaki więc ma pan problem doktorze Goodrich?

— No cóż, mam kilka kilogramów nadwagi...

— To nie wymaga pomocy adwokata, chyba się pan ze mną zgodzi?

— Oczywiście.

Ten facet bierze mnie za idiotę.

W pokoju zapadła ciężka, pełna napięcia cisza. Nathan nie dawał się tak łatwo wyprowadzić z równowagi. Doświadczenie zawodowe uczyniło go twardym i zawsze panującym nad sytuacją negocjatorem.

Spojrzał uważnie na swojego rozmówcę. Gdzie on już widział to szerokie i wysokie czoło, tę silną szczękę, te gęste, zrośnięte brwi? W oczach Goodricha nie było śladu wrogości, a mimo to adwokat poczuł się zagrożony.

— Napije się pan czegoś? — zapytał, siłąc się na spokojny ton.

— Chętnie, szklanek wody mineralnej, jeśli można.

— Myślę, że się znajdzie — zapewnił gościa Nathan, podnosząc słuchawkę, by połączyć się z Abby.

W oczekiwaniu na wodę Goodrich podniósł się z fotela i z zainteresowaniem oglądał książki na półkach.

No tak, czuje się jak u siebie w domu. Nathana zaczęło ogarniać rozdrażnienie.

Wróciwszy na fotel, lekarz spojrział na srebrny przycisk do papieru w kształcie łabędzia, stojący na biurku.

— Można by tym zabić człowieka — mruknął, ważąc go w rękę.

— Rzeczywiście — przyznał Nathan, nie kryjąc zniecierpliwienia.

— Dużo się mówi o łabędziach w starych tekstach celtyckich — rzekł Goodrich jakby sam do siebie.

— Interesuje się pan kulturą celtycką?

— Rodzina mojej matki pochodzi z Irlandii.

— Podobnie jak rodzina mojej żony.

— Chciał pan powiedzieć byłej żony.

Nathan zmierzył go ostrym spojrzeniem.

— Ashley mówił mi, że jest pan rozwiedziony — wyjaśnił spokojnie Goodrich, cały czas kręcąc się w obitym skórą fotelu.

Masz nauczkę, żeby nie opowiadać o swoich problemach temu draniowi.

— W księgach celtyckich — podjął Goodrich — istoty z tamtego świata, które schodzą na ziemię, często przybierają postać łabędzia.

— Bardzo to poetyckie, ale czy może mi pan wyjaśnić, co...

W tym momencie weszła Abby, przynosząc na tacy butelkę z gazowaną wodą i dwie duże szklanki.

Lekarz odstawił łąbędzia. Pił powoli wodę, jakby delektował się każdym bąbelkiem.

— Zranił się pan? — zapytał, pokazując na zadrapanie widoczne na lewej ręce adwokata.

Nathan wzruszył ramionami.

— To głupstwo, zadrapałem się o kratę podczas porannego biegu.

Goodrich odstawił szklankę i powiedział takim tonem, jakby wygłaszał wykład:

— Dokładnie w tym momencie, kiedy pan o tym mówi, setki komórek pańskiej skóry są w trakcie regeneracji. Gdy umiera jedna komórka, druga dzieli się, by ją zastąpić — to zjawisko homeostazy tkankowej.

— Jestem zachwycony tą informacją.

— Jednocześnie neurony w pańskim mózgu są nieustannie niszczone, od dnia, w którym skończył pan dwadzieścia lat...

— Dotyczy to, jak sądzę, wszystkich istot ludzkich.

— Oczywiście, w ten sposób utrzymywana jest stała równowaga między powstawaniem i obumieraniem.

To jakiś wariat.

— Dlaczego pan mi to mówi?

— Bo śmierć jest wszędzie. W każdym człowieku. We wszystkich stadiach jego życia istnieje napięcie między tymi dwoma przeciwstawnymi siłami: siłą życia i siłą śmierci.

Nathan wstał.

— Pan pozwoli? — pokazał ręką drzwi.

— Proszę się nie krępować.

Nathan wyszedł z gabinetu i skierował się do jednego z wolnych stanowisk komputerowych w sekretariacie. Szybko połączył się z internetem i znalazł strony dotyczące szpitali w Nowym Jorku.

Mężczyzna, który siedział przy jego biurku, nie był oszustem. Nie był także kaznodzieją ani umyślowo chorym, który uciekł z zakładu psychiatrycznego. Rzeczywiście nazywał się Garrett Goodrich, był chirurgiem specjalizującym się w onkologii, przedtem pracował na oddziale wewnętrznym w szpitalu Medical General w Bostonie, obecnie w szpitalu Staten Island, jest ordynatorem oddziału opieki paliatywnej. Ten człowiek to gruba ryba, prawdziwa znakomitość w świecie medycznym. To nie ulegało żadnej wątpliwości — zamieszczone w internecie zdjęcie pasowało do wypielegnowanej twarzy sześćdziesięciolatka, który czekał na niego w sąsiednim pokoju.

Nathan przeczytał uważnie CV swojego gościa. Sam nigdy nie był w żadnym ze szpitali, w których pracował doktor Garrett Goodrich. Dlaczego więc jego twarz wydała mu się znajoma?

Nie znajdując odpowiedzi na to pytanie, wrócił do gabinetu.

□

— Tak więc, Garrett, mówił pan o śmierci? Mogę zwracać się do pana po imieniu?

— Mówilem o życiu, Del Amico, o życiu i o przemijaniu.

Nathan skorzystał z tej ostatniej uwagi i ostentacyjnie spojrzął na zegarek, dając gościowi do zrozumienia, że jego czas rzeczywiście już minął, a jego własny jest bardzo cenny.

— Za dużo pan pracuje — zauważył niezmiśnany tym Goodrich.

— Jestem naprawdę bardzo wzruszony, że ktoś troszczy się o moje zdrowie.

Znowu zapadła cisza, ciężąca im coraz bardziej.

— Ostatni raz pytam, w czym mogę być pomocny, panie Goodrich?

— Sądę, że to ja mogę być potrzebny panu, Nathanie.

— Jak na razie, nie widzę w czym.

— Przyjdzie na to czas. Sam się pan przekona, że pewne doświadczenia mogą być bolesne.

— Do czego robi pan aluzję?

— Do tego, że trzeba być dobrze przygotowanym.

— Nie rozumiem.

— Kto wie, co wydarzy się jutro? Konieczne jest, abyśmy zrozumieli, że nie wolno nam się mylić w wyborze priorytetów w życiu.

— Bardzo głęboka myśl — zażartował Nathan. — Czy to groźba?

— Nie, nie groźba. To przesłanie.

Przesłanie?

Choć w spojrzeniu Goodricha nadal nie było wrogości, Nathan nie czuł się z tego powodu spokojniejszy.

Wyrzuc go za drzwi, Nat. Ten facet bredzi. Nie daj się wciągnąć w jego grę.

— Może nie powinienem tego mówić, ale gdyby nie to,

że został pan zarekomendowany przez Ashleya Jordana, wezwałbym strażników i kazał wyrzucić pana za drzwi.

— Nie sędzę, żeby zrobił pan coś takiego — uśmiechnął się Goodrich. — Muszę przy tym pana poinformować, że nie znam Ashleya Jordana.

— Zrozumiałem, że jest pan jego przyjacielem!

— Tylko w ten sposób mogłem się do pana dostać.

— Chwileczkę. Jeśli nie zna pan Jordana, to kto panu powiedział, że jestem rozwiedziony?

— Ma pan to wypisane na twarzy.

Tym razem miarka się przebrała... Nathan wstał gwałtownie i otworzył drzwi, nie ukrywając gniewu.

— Pan wybaczy, jestem zajęty!

Goodrich podniósł się z fotela. Gdy patrzyło się na jego masywną sylwetkę pod światło, sprawiał wrażenie olbrzymia nie do pokonania. Ruszył do drzwi i przekroczył próg gabinetu, nie oglądając się za siebie.

— Ale czego pan właściwie ode mnie chce?! — zawołał Nathan, zupełnie zbity z tropu.

— Myślę, że pan to wie, Nathanie — odrzekł Goodrich, będąc już na korytarzu.

— Ale ja nic nie wiem! — odkrzyknął adwokat.

Trzasnął drzwiami, po czym szybko je otworzył i zawołał:

— Nawet nie wiem, kim pan jest!

Ale Garrett Goodrich był już daleko.